

PRZEDZIWNĄ historię wylowił dla niedzielnego cyklu „Ludzie i zdarzenia” nasz dobry znajomy (z zaniechanego najnieśmieszniejszego programu „Bez apelacji”) i magazynu „Refleksje”) Jerzy Ambroziewicz. Przywołał sprawę reemigranta Józefa Pieczonki, który od dwóch lat spoczywa na bilgorajskim cmentarzu, ale jego dzieje nie przestały jątrzyć do dziś opinii miasteczka i niedalekiej wsi Lipiny. Zostawił złą pamięć u rodziny, którą pominał w testamentie, zapisując ciężko zapracowaną fortunę państwu, u urzędników, którzy zrnarowali jego hojną dotację na budowę szkoły (wzniesionej po partacku) i ośrodka zdrowia (na miarę większego kurnika) w rodzinnych Lipinach. Nie szczędząc czasu, krążąc między Bilgorajem a wsią, reporter znalazł dwoje ludzi, którzy rozumieli steranego okrutnie, starego człowieka. Dwoje wśród setek, a może tysięcy! Tylko oni w Pieczonce widzieli wielkie serce, a nie worek dolarów.

Można podejrzewać (magazyn „Refleksje” zachowuje anonimowość za pomocą formułki „redaguje zespół”), że tenże sam red. Ambroziewicz odwiedził zagrodę nie żyjącego od paru lat pierwszego w 1945 r. posta — rolnika, świetnego rolnika, dodajmy, dobrego posta, podkreślmy. Stanisława Mazura nawiedzały ongi tłumy dziennikarzy, dziesiątki potentów, sąsiadów bliskich i dalekich. Komentarz do dnia dzisiejszego opowieści ziała sama kamera, rejestrująca opuszczenie, nędzę wyzierającą z każdego kąta kwitnącego kiedyś gospodarstwa. Wdowa nie daje sobie rady, sąsiadów nagle

zabrakło, dziennikarzy już nie tu nie przyciąga. Dziwnie krótką mamy pamięć, niezależnie od wieku, wykształcenia oraz szczebla drabiny społeczno-zawodowej.

W publicystycznym programie W. Gregorowicza i A. Kubisiaka z Wrocławia, zatytułowanym „Jak wydać 45 miliardów zł” mówilo się o kierunkach inwestowania w budownictwie mieszkaniowym i przemysłowym, przy czym zaletą programu było częste ilustrowanie ekonomicznych wywodów krótkimi filmami i migawkami z naszego terenu, a wadą pewna monotonia i wypowiedzi, i ilustracji.

Przykładami (jakże niezręcznymi!) z Wrocławia, m. in. z „Hutmenu” podpierał swój miastecznik „Czwarta zmiana” Andrzej Leszczyński. Program przygotowany przed Kongresem Związków Zawodowych miał być poświęcony zagadnieniu humanizacji pracy, jak to wynikało z zapowiedzi prowadzącego. Szkoda, że nie z treści.

Dwa odcinki publicystyki kulturalnej wypadły bardzo interesująco: „Kronika kulturalna” z Poznania i felleton prof. Kazimierza Wyki z Krakowa. W pierwszym „zagrał” sam temat — wystawa nabytków i darów, jakie wzbogaciły nasze największe muzea w ciągu 22 lat powojennych. Było co oglądać, nawet w czarno-białych barwach. Na drugi program złożyła się erudycja, talent popularyzatorski oraz mistrzowska umiejętność posługiwania się prostą, czystą, komunikatywną polszczyzną (w TV słyszana rzadko, na ulicy, w tramwajach i sklepach nieobecna, zaszczeruta jak gwana „mowa”). Prof. Wyka mówił o

nagrodzie Nobla i Polakach, którzy ją zdobyli, przytaczając wiele nieznanych lub mało znanych szczegółów wiążących się z tą sprawą.

„Portret” Juliette Greco (z bardzo dobrze podłożonym głosem Barbary Wrzesińskiej) włoskiej produkcji; reż. Carlo Tuzsi, zdjęcia (bardzo dobre!) Etienne Becker, chyba rozczarował wielbieli pieśniarki. Otrzymałismy studium twarzy — ciekawą, wymowną, żywą, chwilami piękną (nie bez ingerencji chirurga kosmetycznej), a czekaliśmy na piosenki, których poskapano.

Szkoda też, że nie stało piosenek dla wszystkich pysznych (może R. Wilhelm coś odstawał) wykonawców stomatologicznego „Divertimenta” Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Ale to westchnienie tylko na marginesie tego jedyne w TV programu, na którym bawimy się i śmiejemy od początku do końca, który cytujemy i wspominamy aż do następnego „opusu”.

Krótki, coraz krótszy oddech „Szklanej niedzieli” ratuje już drugi raz Budwik Sempoliński jako profesor WST. Z dwu świeżo upieczonych dyplomantów, których poznaliśmy przy tej okazji, jednemu można wrócić karierę w teatrze, choć parodiowanie Gustawa Holoubka zupełnie mu nie wyszło. Ale nazwisko Brzozowicz zapamiętajmy, bo je pewno niedługo i nie raz usłyszymy.

Z trzech ubiegłotygodniowych premier teatrów TV łódzkiej „Thais” Anatola France’a, choć dobrze grana, zepsuł trochę wspólny wysiłek adaptatora (Wacław Biliński) i reżysera (Tadeusz

Byrski), którzy zagubili gdzieś sarkazm i ironię France’a, wobec czego przedstawienie brzmiało nieco zanadto dosłownie.

„Czarowną noc” Sławomira Mročka oglądaliśmy z Wrocławia w sprawnej reżyserii Krystyny Skuszanek i dobrej interpretacji Ryszarda Kotasa i Ferdynanda Matyska, dwu panów w średnim wieku, średniego stopnia służbowego, nocujących w średnim hotelu. Obaj byli tacy, jak trzeba i w początkowej, „realistycznej” partii sztuki i w finałowej, doprowadzonej do absurdu, kwestionującej istnienie obu panów uzależnione od ich punktu widzenia. Przedstawienie poprzedziło njetypowe bardzo słowo wstępne Klemensa Krzyżagórskiego, który: a) nie usiłował naśladować Stefana Treugutta — dotychczasowy i nie zagrożony ideał w zakresie słów wstępnych; b) nie plował, nie truł, nie głądził, a więc; c) powinien jak najczęściej być eksploatowany przez nasz ośrodek TV.

Przedwczorajsza premiera „Miesiąca na wsi” Turgieniewa, reżyserowana przez Bohdana Trukana, zapisała się jako kolejny sukces stołecznej sceny TV. Świetny przekład Pawła Hertza, znakomita gra aktorów wciągnęły nas w tę turgieniewowską atmosferę narastania i krzyżowania się małych osobistych dramatów, burzających ustalony i pozornie niewzruszony bieg codzienności. To prawda, że sposób, w jaki Turgieniew rozwiązuje konflikty swoich bohaterów, traci myszką. Ie czy sposób, w jaki my rozstrzygamy je? Cóż, jest lepszy?